

Przemysław Piętaś: Pułapka Trumpa?

Podobieństwo niektórych elementów wystąpień Donalda Trumpa i Władimira Putina każe głębiej przyrzeć się słowom, jakie pod adresem Rosji wypowiedział prezydent USA w Warszawie



Podobieństwo niektórych elementów wystąpień Donalda Trumpa i Władimira Putina, a także dość w gruncie rzeczy dość przyjazne wrażenie, jakie pozostawiła pierwsza rozmowa w cztery oczy gospodarzy Białego Domu i Kremla, każe głębiej przyrzeć się słowom, jakie pod adresem Rosji wypowiedział Donald Trump w swoim przemówieniu w Warszawie – komentuje Przemysław Piętaś dla Teologii Politycznej

Warszawski hotel Marriott, w którym przed kilkoma dniami spędził noc prezydent USA Donald Trump, dzieli zaledwie 700 metrów od Pałacu Kultury i Nauki, w okresie PRL noszącego imię Józefa Stalina. Symbol kapitalizmu – zarówno hotel, jak i goszczący w nim multimiliarder – oraz symbol komunizmu tuż obok siebie. Wydawać by się mogło (zwłaszcza czytając pełne zachwyty nad wizytą Trumpa, niektóre zbliżone do obecnego obozu rządowego media), że 6 lipca 2017 roku symbolicznie zamknął się jakiś kolejny rozdział polskiej historii. I że o tej porze Polska i Stany Zjednoczone, połączone nierozzerwalnymi więzami przyjaźni, ramię w ramię ruszą do boju o konserwatywną odnowę zepsutego, zachodniego świata. I że ta odnowiona właśnie przyjaźń stanie się ostatecznym końcem dawnej epoki, której warszawskim symbolem przed dekadą był PKiN. Problem tylko w tym, że – jak zazwyczaj bywa w geopolityce – sprawy rzadko przedstawiają się tak, jak na pozór w telewizyjnych obrazkach.

Przemówienie Donalda Trumpa pod pomnikiem Powstańców Warszawskich na Placu Krasińskich miało rzeczywiście – i przyznają to komentatorzy nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie – wymiar historyczny. Odwołujące się do Boga i wartości, przypominające, że zachodnia cywilizacja musi walczyć o swoją tożsamość, jeżeli chce przetrwać. Czy jednak jest ów – Zachód? I czy w ogóle jeszcze istnieje? Chłodna reakcja Niemiec i Francji na „deklarację warszawską” świadczy raczej o głębokich podziałach w ramach cywilizacji, która jeszcze nie tak dawno wydawała się niezniszczalną potęgą. Zdemolowany przez ultralewicowych fanatyków Hamburg zdaje się symbolicznym obrazem upadku zachodniej Europy. Podczas swojej podróży na kontynent, dla amerykańskiego przywódcy tylko dwa momenty można uznać za naprawdę kluczowe – i być może definiujące pierwszą kadencję jego

prezydentury. Była to wizyta w Warszawie, oraz rozmowa z Władimirem Putinem w Moskwie. I być może samo zestawienie tych dwóch zdarzeń powinno już stanowić powód do niepokoju.

„Dziś w wielu krajach rewiduje się normy moralne i etyczne, zanikają tradycje i różnice między narodami i kulturami. Od społeczeństw wymagają teraz nie tylko zdrowego poszanowania prawa każdego człowieka do swobody sumienia, poglądów politycznych i życia osobistego, ale też i uznania równowartości dobra i zła, pojęć przeciw sobie przeciwstawnych. Takie niszczenie tradycyjnych wartości „od góry” niesie ze sobą nie tylko skutki negatywne dla społeczeństwa, ale jest też do głębi antydemokratyczne, jako że jest realizowane na podstawie abstrakcyjnych idei, wbrew woli większości narodów, która nie akceptuje takich zmian. W świecie jest coraz więcej ludzi popierających nasze stanowisko w sprawie obrony tradycyjnych wartości, które przez tysiąclecia stanowiły duchowy i moralny fundament cywilizacji, czyli tradycyjnej rodziny, prawdziwego życia, w tym i religijnego”.

Pod powyższymi słowami, z pewnością podpisałby się niejednen z polskich konserwatystów. Problem tylko w tym, że nie wypowiedział ich w swoim warszawskim przemówieniu Donald Trump, ale w Moskwie Władimir Putin, w swoim dorocznym orędziu, w grudniu 2013. Podobieństwo niektórych elementów obydwu wystąpień, a także dość w gruncie rzeczy dość przyjazne wrażenie, jakie pozostawiła pierwsza rozmowa w cztery oczy gospodarzy Białego Domu i Kremla, każe głębiej przyjrzeć się słowom, jakie pod adresem Rosji wypowiedział Donald Trump w swoim przemówieniu w Warszawie. „Zarówno słowami, jak i działaniami, prezydent (Trump) bardzo jasno zasygnalizował wolę dopasowania polityki Stanów Zjednoczonych do

wizji świata Władimira Putina – i podjął kroki w kierunku realizacji takiej zmiany” – pisze w komentarzu dla „Politico” publicysta Molly K. Mckew. „Wyzwanie rzucone Rosji było w gruncie rzeczy oliwną gałązką: Trump zaoferował Rosji miejsce we „wspólnocie odpowiedzialnych narodów w naszej walce przeciwko wspólnym wrogom i w obronie cywilizacji”. Niektórzy polscy komentatorzy, komplementując propolskie wystąpienie Trumpa w Warszawie, wydają się nie zauważać jego serdecznego spotkania z Putinem zaledwie kilkanaście godzin później. Ta optymistyczna perspektywa musi jednak ulec zasadniczej zmianie, jeżeli obydwie wydarzenia uznamy za ściśle pasujące do siebie elementy tej samej układanki.

Wyobraźmy sobie następujący, być może skrajny, scenariusz. Załóżmy, że wszystko to, czego świadkami byliśmy w ubiegłym tygodniu, było tylko częścią makiawelicznego planu, uzgodnionego w największym sekrecie pomiędzy nowym gospodarzem Białego Domu, a długoletnim gospodarzem Kremla. Planu, którego z jednej strony częścią jest pozostający pod całkowitą kontrolą obydwu graczy, nowy wyścig zbrojeń (aby kraje Europy Środkowo-Wschodniej mogły wydać miliardy dolarów na nowoczesne uzbrojenie, Rosja musi im się jawić jako potężny i niezmiernie groźny przeciwnik), przy jednoczesnej grze na dalsze osłabienie Unii Europejskiej. W tym scenariuszu, najpierw Brexit, a teraz inicjatywa Trójmorza, stają się do pewnego stopnia stroną tej samej monety, prowadzącej do rozbicia UE jako jednolitego bloku. A w ostatecznym rozrachunku, celem tej gry staje się stworzenie zupełnie nowego układu geopolitycznego, z nową, dopiero w początkowym zarysie się wyłaniającą, konfiguracją sojuszy i sił.

Dopóki krajom naszego regionu wydaje się, że poprzez inicjatywę Trójmorza, naprawdę są w stanie uprawiać całkowicie samodzielnią i podmiotową politykę, wówczas ten nowy blok, oficjalnie wsparty przez amerykańską administrację, zdaje się znakomitym pomysłem, nawiązującym do przedwojennych jeszcze marzeń i idei II Rzeczypospolitej. I w optymistycznym scenariuszu, ta inicjatywa może rzeczywiście okazać się bardzo cennym impulsem rozwojowym dla 12 krajów wchodzących w jej skład. Ale w bardziej ponurym, opisywanym powyżej wariantcie rozwoju zdarzeń, ten piękny sen o Międzymorzu będzie trwać tylko do momentu, w którym do Andrzeja Dudy nie zadzwoni Donald Trump i przyjacielskim tonem nie powie mu, że Stany Zjednoczone wchodzą właśnie w głęboki sojusz strategiczny z Rosją, i że byłoby „splendid”, gdyby Polska oraz inne kraje Trójmorza włączyły się do tej inicjatywy. Czy o tak istotnych sprawach nie byłoby łatwiej rozmawiać po prostu z Polską, jako regionalnym reprezentantem całej postsowieckiej zony, niż prowadzić indywidualne rozmowy z każdym z 12 krajów i kraików z osobna?

Co w takiej sytuacji, postawione pod ścianą i zmuszone do decyzji o konsekwencjach rozciągających się być może na kilka pokoleń, zrobiłyby polskie władze? Odważyłyby się przystąpić do amerykańsko-rosyjskiego bloku, tymczasem jednoznacznie i nieodwracalnie odwracając się plecami od „zgniłej” Zachodniej Europy, a jednocześnie ryzykując zgniecenie w miłosnym uścisku między Waszyngtonem i Moskwą? Czy może ze świętym oburzeniem odrzuciłyby propozycję, ogłaszając światu, że prędzej pójdziemy w sojusz z diabłem, niż z Putinem? Problem tylko w tym, że w powyższym wariantcie, zapędzona do narożnika, Polska na europejskiej i światowej scenie pozostałaby osamotniona całkowicie, skonfliktowana jednocześnie z Europą (niewybaczalna, wcześniejsza zdrada jedności Unii), Rosją (odmowa

przystąpienia sojuszu jako jasna deklaracja wrogości) i USA (odrzućcie wyciągniętej ręki z perspektywą znakomitego, przynajmniej w oczach Trumpa, „dealu”).

Polityka jest, w jednym z wielu znaczeń, również sztuką unikania bycia zapędzonym do narożnika. Powyższy scenariusz, oczywiście, nie musi się wydarzyć. Ale ponieważ jest nawet teoretycznie tylko możliwy do wyobrażenia, polskie władze muszą bardzo uważać aby, zwabieni błyskotkami ciepłych słów pod naszym adresem, nie dać się wmanewrować w montowanie przyszłej osi Waszyngton-Moskwa, z Europą Środkowo-Wschodnią w roli przyzwoitki uwiarygadniającej nowy strategiczny sojusz pomiędzy Białym Domem i Kremlem. Bądźmy ostrożni i nie zapominajmy o przede wszystkim o naszych interesach, nie ulegając zbyt łatwemu zauroczeniu nowym „obrońcą zachodniej cywilizacji”. Zastanówmy się bardzo dobrze – póki mamy jeszcze czas na podobne dywagacje – co zrobilibyśmy w sytuacji, gdyby okazało się, że konserwatywną krucjatę w obronie Europy mielibyśmy prowadzić przeciw Berlinowi i Paryżowi, ale za to ramię w ramię z Moskwą. Trójmorze to piękna i szczytna idea, ale tylko pod warunkiem że w przyszłości nie zamieni się w nowy Układ Warszawski.

Przemysław Pięta